

# TEATR

## Powrót syna marno- trawnego



„Klik-klak» Jarosława Abramowa jest nareszcie dobrą polską komedią współczesną.»

Wreszcie Jarosław Abramow powrócił na bulwary. Kiedy przed dwoma laty recenzowałam premierę jego „Ucieczki z Wielkich Bulwarów”, radziłam, by „więcej nie uciekał z wielkich bulwarów, lecz jak najprędzej na nie powrócił”. I oto słowo ciała się stało, dzięki czemu mamy nareszcie dobrą polską komedię współczesną. Dowcipny, błyskotliwy dialog, zabawne sytuacje, doskonałe role, trochę lezki i trochę satyry, bez metnej filozofii, bez przybierania pozy wieszczą narodowego w oparach teatru absurdu — oto aktywa ostatniej sztuki Abramowa. Tylko w finale odbijają się jeszcze słabiutkie pogłosy teatralnej awangardy lat pięćdziesiątych z katafalkiem i surrealistyczną szafą, ale... wybaczenie błędy autorowi — zabrakło konceptu na pointę, a sytuację przecież trzeba było jakoś rozładować. Najważniejsze, że „Klik-klak” jest komedią, bardzo sceniczną i bardzo współczesną, choć występują w niej epigoni innych epok. Zadziwiające, jak doskonale Abramow wyczuwa atmosferę — jak to nazywa Wańkowicz „międzywojnia”, jak świetnie potrafi budować postaci owych czasów, jak swobodnie operuje ich językiem, sytuacjami, schematami obyczajowymi, moralnymi, intelektualnymi.

„Klik-klak” — to podstępny śpód kolejnych mężów pięknej pani Kornelii pod jednym dachem i po trosze pod jednym pantoflem, tkwiącym wciąż na powabnej i energicznej nóżce. Jest więc przedwojenny pułkownik, sanacyjny dyplomata, jest i eks-wiceminister ludowej już władzy i młodzian najzupełniej współczesny, jakby zaplątał się na scenę z pobliskiej „Kameralnej”. Z największą sympatią traktuje autor pułkownika z Wołkowyska, najostrzej drwi z beckowskiego dyplomaty. Czar munduru nie oszczędził widać i Abramowa. Publiczność najżywiej reaguje na postać odpowiedzialnego, choć już na przyspieszonej nieco emeryturze działacza, co to może i w przemyśle ciężkim, a jak trzeba w rolnictwie i w kulturze... Aczkolwiek i ta postać zyskuje sobie sympatię uczuciem do pięknej Kory, uczuciem, które mogło zniszczyć wszystko, czyli karierę... Najmniej do powiedzenia w sztuce i w życiu ma młody człowiek — trochę jakby na etacie żigolaka.

Czyżby twórca STSu tak się nam zestarzał, że już „nie rozumie” współczesnej młodzieży?...

„Klik-klak” ma cztery znakomite role. Role, o jakich marzą aktorzy, role charakterystyczne i komiczne, dowcipne i sympatyczne, role „do grania”... Ale... całe to towarzystwo winno zmieścić się w granicach wieku od 60 do 75 lat! Panowie są dawno na emeryturze, pani brylowała jeszcze w Wołkowysku w początku wielkiego kryzysu i kariery pułkownika Grzegorza Roji-Mierzyńskiego. Trudno, tempus fugit! Wydaje się jednak, że na sukcesie teatralnym tego spektaklu zaważyła decyzja o „obniżeniu wieku postaci”... Nie jest tu bowiem ważne naturalistyczne ogrywanie zniechęconej starości i zbliżającej się wielkimi krokami „kolacji”... Choć więc pani Kornelia ze Sceny Kameralnej mogła w latach trzydziestych być co najwyżej „w projekcie”, a panowie reprezentują to, co się nazywa „siłą męskiego wieku” — przyjmujemy grę i wierzymy w owe 60-tki czy 70-tki... Renty, emerytury, podagry! Gdyby Kornelię grała naprawdę aktorka w autentycznym wieku „babci” — sceny z playboyem Eligiuszem mogłyby być nawet niesmaczne. Szczęściem na warszawskiej scenie mamy quintet doskonale zharmonizowany, a reżyser, p. Wanda Laskowska, idąc wiernie tropem propozycji autorskich, nadała spektaklowi szybkie tempo, spointowała dowcipne sytuacje, wyakcentowała satyryczne kwestie. P. Małgorzata Treutler zaproponowała dekorację w stylu lat trzydziestych — i to pięknie, mam tylko do niej pretensję za kostium p. Kossobudzkiej w II akcie, który może i powinien być zarówno młodzieżowy, jak szalowy, sexy i chic, ale nie może i nie powinien robić wrażenia, że jego posiadaczka przestała być amatorką uroków życia, zamieniwszy się

u schyłku jesieni w profesjonalistkę...

Warszawskie przedstawienie „Klik-klaku” — to sukces autora i aktorów! Cztery doskonałe role i jeden epizod. Renata Kossobudzka, autentyczna piękność z okładki „Światowidu” lub główka z pudełka cukierków f-my „Fuks” (któż pamięta te arcybombonierki przesywane barwnymi wstążkami) — zagrała bohaterkę z werwą i dowcipem, błyskotliwie i cieniutko, była pełna wdzięków i powabów, także i dziś jeszcze mogłaby niejedną zawrócić głowę. Aktorka pokazała tu rzadki talent komediowy, umiejętność znakomitego prowadzenia dialogu. Dawno nie widziałam jej w tak świetnej roli! Ma zresztą wyśmienitych partnerów: p. Mieczysław Stoor — jakby urodził się w mundurze. To oficer z przedwojennym szychem, a równocześnie trochę zupak z prowincjonalnego garnizonu. Potrafił wcielić się w postać pierwszego męża pani Nelly — bez reszty. Był śmieszny i sympatyczny zarazem. Ostrzej nieco zarysował charakter (czy właśnie brak charakteru?) MSZ-etowskiego dyplomaty na greckich i albańskich dworach p. Wienęczyśław Gliński. Człowieka z teczka (a i „z teczki” również) zagrał p. Wiktor Nanowski. Był, jak trzeba: spokojny i chętny do zgody, taki, co to, gdzie mnie postawią, tam w miarę swoich sił i możliwości... Wojciech Sztokinger jako Eligiusz miał tu najmniej do powiedzenia, za mało chyba ogrywał „klik-klak”, który znalazł się w tytule!

Zbyt rzadko mamy okazję podziwiania sztuki aktorskiej, zbyt rzadko trafiają się role, w których aktorzy mogliby się w pełni wykazać. Teatr reżyserski, w którym aktor jest tylko jednym z elementów kompozycji spektaklu, nie powinien eliminować teatru aktorskie-

go. Oba gatunki winny istnieć i rozwijać się równolegle. I dlatego podziękujmy Jarosławowi Abramowowi, że napisał dobrą komedię i dla widzów (duża zabawa!), i dla teatru (tanie do wystawienia i na długotrwałe powodzenie) i dla aktorów (wreszcie mogą się nagrać!).

IRENA BOLTUĆ

Teatr Polski w Warszawie. Scena Kameralna. Jarosław Abramow: Klik-klak. Reżyseria Wanda Laskowska, scenografia Małgorzata Treutler. Premiera w lipcu 1972.